



Nikolaj Gogol

WUJ

Nikołaj Gogol

WIJ

Tłumaczenie – Zenon Ciechanowicz

© Copyright by
Nikołaj Gogol & Zenon Ciechanowicz & e-bookowo
Grafika na okładce: freeimages.com
Projekt okładki:
e-bookowo
Tłumaczenie z języka rosyjskiego: Zenon Ciechanowicz

ISBN 978-83-7859-433-8

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2014

Wprowadzenie¹

Na początku wypada ostrzec, by osoby o słabych nerwach nie czytały książki przed snem. Kim jest tytułowy Wij, autor informuje już w słowie wstępnym, z pierwszych stron powieści dowiadujemy się też o dziwnych zwyczajach ukraińskich seminarzystów. Następnie obserwujemy niezwykłą wędrówkę trzyosobowej grupki tych młodych mężczyzn przez ukraińskie stepy. Teolog, filozof i krasomówca w warunkach nocnych, kiedy rzekomo nie dało się widzieć nawet własnej pięści, kiedy głos ich ginął, ale słyszeli jęki podobne do wilczego wycia, zgubili namiastkę drogi i trafili do samotnego chutoru. W chutorze, biednemu filozofowi słowa zamarały na ustach, kiedy w nocy do niego zaczęła zbliżać się starucha, której oczy błyszczały jakimś dziwnym blaskiem. Dopiero, gdy wskoczyła mu na plecy i jak rumaka zmusiła do galopowania po stepie, zrozumiał, że ma do czynienia z wiedźmą. Po ciężkich zmaganiach, zdołał ją zrzucić, ale najgorsze miało dopiero nastąpić. Nie zdołał umknąć kozakom, mimo swych dobrych nóg, chociaż ich powóz zatrzymywał się przed każdą karczmą. Na koniec, trzy kolejne noce miał spędzić w zamkniętej cerkwi, ale razem z trupem... Po pierwszej nocy serce filozofa drżało i pot spływał strumieniami...

Po drugiej nocy posiwiął...

¹ Wij – jest wielkim wytworem wyobraźni prostego narodu. Tym imieniem Małorosjanie nazywali naczelników gnomów, u których powieki na oczach sięgają aż do ziemi. Cała ta powieść jest ludową opowieścią. Nie chciałem w niej nic zmieniać i opowiadam prawie tak prosto, jak słyszałem. (Przypis z wersji oryginalnej)

O Autorze

Gogol Nikołaj Wasiliewicz (1809 – 1852) urodził się w Połtawskiej guberni – obecnie w granicach Ukrainy. Jest wielkim rosyjskim pisarzem, ale w wielu utworach wraca do stepów Ukrainy, chutorów, kozaków. Przedstawia nam atmosferę kraju i narodu, ale często ubarwia całość urokiem dziwnej atmosfery pełnej różnych duchów, wiedźm i zjawisk o nadprzyrodzonej mocy. Pomysły czerpie z ludowych opowieści.

Wij

W chwili, gdy uderza w Kijowie dość głośny poranny dzwon na seminaryjnej dzwonnicy Brackiego klasztoru, z całego miasta podążają grupkami uczniowie i seminarzyści. Gramatycy, krasomówcy, filozofowie i teolodzy z zeszytami pod pachami, wszyscy spieszą się do klas. Gramatycy są bardzo mali; idąc przepychają się i sprzecząją wysokim dyszkan-tem; ubrani są w prawie podarte lub ubrudzone szaty, w ich kieszeniach zawsze pełno różnych świństw, na przykład: kości do gry, gwizdki z piórek, pierogi, a czasami nawet ma-leńki wróbelek. Jeden z nich zaćwierkał pośród największej ciszy w klasie. Opiekun wróbelka dostał za to porządne lanie w obie dłonie, mógł też otrzymać wiśniowe różgi.

Krasomówcy szli solidnie: ich odzież była często nawet cała, ale za to na twarzy zawsze znajdowało się jakieś upięk-szenie w postaci krasomówczej siekiery: albo jedno oko ucie-kało pod czoło, albo zamiast wargi widziało się cały pęcherz albo jakaś inna odznakę. Ci rozmawiali i przysięgali między sobą tenorem.

Filozofowie brali na całą oktawę wyżej; w kieszeniach, prócz mocnych tytoniowych okruchów, nic więcej nie mieli. Nie robili żadnych zapasów i wszystko, co do nich trafiało było zjadane natychmiast. Od nich niosło tytoniem i gorzalką – czasami z takiej odległości, że przechodzący obok rzemieślnicy zatrzymywali się i wączali powietrze, jak myśliwski pies.

Rynek o tej porze dopiero zaczynał się ruszać i handlarki z obwarzankami, pestkami z arbuzów i makownikami szarpały za poły tych seminarzystów, u których poły były z cienkiego sukna albo z jakiegoś papierowego materiału.

– Paniczowie! Paniczowie! Do mnie! Do mnie! – krzyczeli ze wszystkich stron. – Tu obwarzanki, makowniki, bułeczki wspaniałe! Tu najlepsze! Na miodzie! Sama pieką! Sama!

Inna unosiła coś długiego, upieczonego z ciasta i krzyczała:

– Tu sopelek, panicze, kupcie sopelek!

– Nie kupujcie nic od niej. Popatrzcie, jaka wstrętna – jaki u niej nos i ręce nie czyste...

Filozofów i teologów bali się zaczepiać, bo filozofowie i teologowie zawsze lubili brać tylko na próbę i do tego całą garścią.

Po przybycia do seminarium, cały tłum rozchodził się po klasach, znajdujących się w niziutkich, ale dość obszernych pokojach z niewielkimi oknami, z szerokimi drzwiami i zabrudzonymi ławkami. Klasa zaczynała nieoczekiwanie huczeć na różne głosy: audytorzy wysłuchiwali swych uczni. Głośny dyszkant gramatyka właśnie dopasowywał się do dzwonięcia szyb wstawionych w małe okna, a szyby odpowiadały prawie takim samym dźwiękiem. W rogu ryczał kra-

somówca, którego usta i grube wargi powinny były należeć przynajmniej do filozofa. Ryczał basem i jedynie z daleko do-
latywało: bu, bu, bu...

Audytorzy, słuchając lekcji, patrzyli jednym okiem pod ławkę, gdzie z kieszeni podporządkowanego seminarzysty wyłaziła bułka albo pierożek, albo pestki z dyni.

Jeśli cały ten wyuczony tłum potrafił przyjść trochę wcześniej albo, jeśli wiedzieli, że profesorowie będą później niż zwykle, wtedy, za powszechną zgodą, zaczynali bójkę. Uczestniczyć musieli w niej wszyscy, nawet cenzorzy, których obowiązkiem było pilnowanie porządku i obyczajowości wszystkich uczących się.

Dwaj teologowie zwykle decydowali, jak będzie się odbywała bitwa: czy każda klasa będzie walczyła o swój honor samodzielnie czy wszyscy powinni się rozdzielić na dwie połowy: na bursę i seminarium. W każdym przypadku, gramatycy rozpoczynali pierwsi. Kiedy wtrącali się krasomówcy, to uciekali precz i ustawiali się na czymś wyższym, żeby obserwować bitwę. Potem wkraczała filozofia z czarnymi długimi wąsami, w końcu teologowie, w przerażających szarawarach z najgrubszymi szyjami. Zwykle kończyło się tym, że teologowie zwyciężali wszystkich i filozofowie, trzymając się za boki, uciekali do klasy, usadawiali się odpoczywać na ławkach. Profesor, po wejściu do klasy, uczestnik takich samych bójek w przeszłości, w ciągu jednej chwili, na podstawie rozpalonych twarzy poznawał, że walka była nie najgorsza. W tym czasie, kiedy tłukł różgami po palcach krasomówców, w innej klasie, inny profesor rozdzielał uderzenia drewnianą łopatką po dłoniach filozofów. Z teologami postępowano całkiem

inaczej: dla nich według słów profesora teologii odsypywano po miarce wielkiego grochu.

Podczas dni uroczystych i świątecznych seminarzyści i bursowicze szli z domu do domu z szopką. Czasami robili komedie, a w takim przypadku zawsze wyróżniał się jakiś teolog, wielkiego wzrostu, jak dzwonnica. W nagrodę otrzymywali kawałek płótna, albo worek prosa, albo połowę gotowanej gęsi, lub coś podobnego.

Cały ten uczony naród, jak seminarium i bursa, którzy nawzajem z nieznanego powodu nienawidzili się, byli nadzwyczajnie biedni w środki spożywcze i nadzwyczaj żarłocni. Czasami ciężko było policzyć ile klusek każdy z nich pożarł w ciągu wieczery. Z tego powodu dobrowolne datki bogatszych mieszkańców nie mogły być wystarczające.

Wtedy senat, składający się z filozofów i teologów, wysyłał gramatyków i krasomówców pod dowództwem jednego filozofa, – czasami przyłączał się sam, – z workami na plecach pustoszyć cudze ogrody. W bursie pojawiała się kasza z dyni. Senatorowie tak się objadali arbuzami i dyniami, że na drugi dzień audytorzy słyszeli od nich zamiast jednej lekcji dwie: jedna wydawały usta, a drugim było burczenie w senatorskich żołądkach.

Najbardziej uroczystym okresem dla seminariów były wakacje – tj. czas od czerwca, kiedy zwykle szkoła była wysyłana do domów. Wtedy całą wielką drogę zajmowali gramatycy, filozofowie i teologowie. Ten, kto nie miał swego dachu nad głową, siedł z jakimś kolegą. Filozofowie i teologowie wybierali się na kondycję, czyli na szkolenie dzieci ludzi zamożnych i otrzymywali po roku za to nowe buty, a czasami nawet

surdut.

Cała ta wataha włączyła się razem jak tabor; warzyli sobie kaszę i nocowali w polu. Każdy ciągnął ze sobą worek, w którym znajdowała się jedna koszula i para onuc.

Teologowie byli szczególnie oszczędni i dokładni. Żeby nie niszczyć butów, zdejmowali je, wieszali na kijach i tak nieśli na plecach, szczególnie kiedy było błoto. Wtedy, mając podkasane do kolan szarawary, bez obawy rozbryzgiwali kałuże swoimi nogami. Zaledwie zauważyli gdzieś z boku chutor, to od razu skręcali z wielkiej drogi i zbliżali się do chaty, wystrojonej zgrabniej od innych. Potem ustawiali się w rzędzie przed oknami i na całe gardło zaczynali śpiewać. Gospodarz chaty, jakiś stary kozak – osiedleniec, długo słuchał, podparty obydwoma rękoma, potem gorzko łkał i mówił zwracając się do żony:

“Żoneczko! To śpiewają uczniowie, na pewno bardzo mądre. Wynieś im słoniny i jeszcze coś, co mamy!” Wtedy cała miska pierożków wpadała do worka. Prócz tego porządny kawałek słoniny, kilka chlebów, a czasami nawet ładowała tam kura.

Wzmocnieni takim zapasem, gramatycy, krasomówcy, filozofowie i teologowie ponownie wyruszali w drogę. Im dalej oddalali się, tym bardziej zmniejszał się ich tłum. Prawie wszyscy rozchodzili się po domach, zostawali jedynie ci, którzy mieli rodzicielskie gniazda gdzieś daleko.

Jeden raz podczas podobnej wędrowki trzej bursowicze skręcili z wielkiej drogi w bok, żeby w pierwszym napotkanym chutorze odnowić zapasy, bo ich worek był dawno pusty. Byli to: teolog Cholawa, filozof – Choma Brut i krasomówca

– Tiberej Horobeć.

Teolog był wysokim, potężnym mężczyzną i miał nadzwyczajne humory: kradł obowiązkowo wszystko, co leżało w pobliżu. Ponadto, charakter miał bardzo mroczny i kiedy napił się do stanu oszołomienia, chował się w burzanie i seminarzystom kosztowało wiele trudu, żeby go odnaleźć.

Filozof Choma Brut miał wesołe usposobienie. Bardzo lubił leżeć i palić fajkę. Jeśli pił, to obowiązkowo wynajmował muzykantów i tańczył trepaka. Często próbował wielkiego grochu, ale z wielką filozoficzną obojętnością, – twierdząc, że co ma się zdarzyć, tego nie da się ominąć.

Krasomówca Tiberej Horobeć jeszcze nie miał prawa nosić wąsy, pić gorzałkę i palić fajki. Nosił tylko *oseledec* (długie pasmo włosów), z tego powodu charakter jego był jeszcze mało rozwinięty. Jednak, sądząc po wielkich guzach na głowie, z którymi często pojawiał się w klasie, można było wnioskować, że z niego będzie dobry wojownik. Teolog Cholawa i filozof Choma często darli go za czub wyrażając swoją opiekę i wykorzystywali w charakterze posłańca.

Był już wieczór, kiedy skręcili z wielkiej drogi. Słońce dopiero się schowało i dzienna ciepłota zostawała jeszcze w powietrzu. Teolog i filozof szli w milczeniu, paląc fajki: mówca Tiberej Horobeć zbijał kijem główki z buraków, rosnących na skraju drogi. Droga wiała się między porozrzucanymi grupami dębów i krzakami leszczyny, wyrastającej na łące. Odłogi i nie wielkie góry, zielone i okrągłe, jak kopuły, czasami przedzielały równinę. Pole, z dojrzewającym żytem zawiadamiało, że wkrótce powinna się ukazać jakaś wieś. Ponad godzinę temu minęli zagony ze zbożem, a ciągle nie widzieli żadnego

siedliska. Mrok już całkowicie przesłonił niebo i jedynie na zachodzie został blady fragment różowej poświaty. – Jaki diabeł! – powiedział filozof Choma Brut, – wydawało się, że zaraz powinien być chutor. Teolog milczał, rozglądając się po okolicy, a potem wziął ponownie do ust swoją fajkę i wszyscy kontynuowali podróż.

– Wielki Boże! – powiedział ponownie filozof po zatrzymaniu się. – Jaki diabeł, nawet pięści nie widać.

– Być może będzie jednak dalej jakiś chutor – powiedział teolog nie wypuszczając fajki z ust.

W tym czasie nadciągnęła noc i to dość ciemna. Niewielkie chmury wzmocniły mrok i sądząc po wszelkich oznakach nie można było liczyć ani na gwiazdy, ani na księżyc. Bursowicze zauważyli, że stracili szlak i od dawna nie idą po drodze. Filozof poszurał nogami po ziemi i powiedział:

– Przecież tu nie ma drogi!

Teolog przemilczał, a kiedy pomyślał, to rzekł:

– Tak, noc jest ciemna.

Krasomówca odszedł na bok i pełzając chciał odnaleźć drogę, ale jego ręce trafiały jedynie w lisie nory. Wszędzie był jedynie step, po którym chyba nikt nie jeździł. Wędrowcy jeszcze wysilili się, żeby przejść trochę do przodu, jednak wszędzie było tak samo dziko. Filozof spróbował krzyknąć, ale jego głos całkowicie zaginął. Żadna odpowiedź z nikąd nie nadeszła. Dopiero po jakimś czasie usłyszało się słabe jęki podobne na wilcze wycie.

– Wiesz, co teraz robić? – zapytał się filozof.

– Cóż, trzeba zostać i nocować w stepie! – odpowiedział teolog i sięgnął do kieszeni żeby wyciągnąć krzesiwo i zapalić

nową fajkę. Jednak, filozof nie mógł się na to zgodzić. Miał zasadę spożytkować przed nocą pół pudowy kawał chleba i ze cztery funty słoniny. Teraz wyczuwał w swoim żołądku jakąś dziwną pustkę. Prócz tego, nie zważając na wesołe usposobienie, filozof bał się wilków.

– Nie, nie możemy, – powiedział. – Przecież nie możemy położyć się bez wzmocnienia się, jak psy? Spróbujemy jeszcze; może znajdziemy jakąś siedzibę i chociaż czarkę gorzałki uda się wypić na noc. Przy słowie “gorzałki” teolog splunął w bok i orzekł:

– Oczywiście, nie możemy zostawać w stepie.

Bursowicze ruszyli dalej i ku wielkiej swojej radości w oddali usłyszeli szczekanie. Przysłuchali się, z której strony, skierowali się tam żwawiej i już wkrótce ujrzeli ognik.

– Chutor! Na Boga! Chutor! – powiedział filozof.

Przypuszczenia były trafne: wkrótce, faktycznie ujrzeli niewielki chutor, zaledwie z dwóch chat, znajdujących się na tym samym podwórku. W oknach świecił się ogień. Może dziesięć drzew śliwy sterczało nad płotem. Spojrzeli przez szpary w ogrodzeniu z desek i ujrzeli podwórko, zastawione *czumackimi* (ukraińscy handlowcy – wozacy) wozami. W tym czasie gdzieś świeciły się gwiazdy na niebie.

– Uważajcie, braciszku, musimy obowiązkowo zdobyć nocleg!

Trzej uczeni mężowie zgodnie zastukali we wrota i krzyknęli:

– Otwórz!

Drzwi w jednej chacie zaskrzypiały i po minucie bursowicze ujrzeli staruchę w kożuchu.